

Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna  
im. dr. Witolda Bełzy w Bydgoszczy

**„NA CHWAŁĘ SŁOŃCA”  
IV OGÓLNOPOLSKI KONKURS LITERACKI  
IM. WANDY DOBACZEWSKIEJ  
NAGRODZONE PRACE**

BYDGOSZCZ 2024

Jury konkursu w składzie: Helena Dobaczewska-Skonieczka, Małgorzata Grajewska, Tadeusz Oszubski, Alina Rzepecka wyłoniło laureatów.

Kategoria wiekowa „A” dorośli - POEZJA

I miejsce: Viktoria Glombitza – godło: Stokrotka

II miejsce: Mirosław Kowalski – godło: Numer

III miejsce: Ewelina Cis – godło: Spojrzystość

Wyróżnienie: Krystyna Mazur – godło: Matka Poety

Wyróżnienie: Tadeusz Knyziak – godło: Nikos

Kategoria wiekowa „A” dorośli - PROZA

I miejsce: Olga Sarwa – godło: Zapominajka

II miejsce : Patrycjusz Pilawski – godło: Helly Hansen

III miejsce: Piotr Zemanek – godło: Poematic

Wyróżnienie: Iga Rusek – godło: Róża II

Wyróżnienie : Maciej Dworowy – godło: Matwiej

Kategoria wiekowa „B” młodzież [w wieku 12-17 lat] - POEZJA

I miejsce: Aleksandra Pańpuch – godło: Joanna

II miejsce: Jakub Miklus – godło: Miklusik

III miejsce: Antonina Mrowiec – godło: Mrotosia

Wyróżnienie: Grzegorz Sobkiewicz – godło: Grechut

Wyróżnienie: Hubert Kulczyk – godło: Hubku

Kategoria wiekowa „B” młodzież [w wieku 12-17 lat] - PROZA

I miejsce: Jan Kocot – godło: Tobi

II miejsce: Aleksandra Złotkowska – godło: Otilie

III miejsce: Natalia Maślej – godło: Freya

Wyróżnienie: Łukasz Stan – godło: Kochanka

Wyróżnienie: Ksawery Górny – godło: Waga

**I miejsce: Viktoria Glombitza – godło: Stokrotka**

**(w) tobie wszystko**

a ja bym tobie nawet  
nadstawiła drugi policzek  
i trzeci i czwarty  
gdybym tylko mogła  
i oddałabym ci z powrotem żebro  
byleś się nie gniewał  
chłopcze spod drzewa

jestem ci okruczem miłości  
czy ucztą weselną albo  
świętą ofiarą

czym ci jestem jeżeli  
ty mi połową świata  
szkiełkiem przez które  
patrzę w mój czas

**\*\*\* (odpamiętam się...)**

odpamiętam się  
odpamiętam  
oduroczę i  
wyplątam  
z twojego objęcia półsennego  
z westchnieniem powstającego Łazarza

poczęstuję cię wzrokiem  
i pozwolę  
pokochać raz jeszcze  
od nowa  
i znów  
od nowa

oddam ci moją  
najlepszą cząstkę  
a ty weź ją  
zamknij w dłoni  
i zapamiętaj

podarunek bez okazji  
kruchy jak ta mała odrobina człowieka  
która faktycznie do niego należy

## **twój ogród**

cień rzucasz mi w oczy  
studnię budujesz pod powieką  
a ja wciąż  
gleba niewdzięczna i nieżywna

przeschła we mnie wrażliwość  
zbladłam od zeszłej wiosny  
i ziarno we mnie to jak  
tysiące lat w kosmosie  
dom na piasku bukłak pusty  
serce pełne kamieni

i gdzie tu miejsce żeby ogród założyć

## II miejsce: Mirosław Kowalski– godło: Numer

### Świątkarz

zawsze czczył jesiony  
w drzewach mieszkają święci  
więc modlitwą był las  
i szpaler klonów przy drodze  
wiatr przewracał liście skarbczyka

nic nie powstaje z niczego  
spod ostrzonych dłut  
zbierał iskry  
nepomukom na aureole

wieczorem  
na chwałę polnej kapliczki  
zdrewniałymi rękami  
wyjmował zbawiciela  
z ciała dębu

**Którymkolwiek dobrniemy wieczorem**  
**Pożegna nas zachód słońca**

pociągniesz mnie na ścieżki nikłe  
gdzie w prześwitach czasem kamienieją sarny  
nasze oczy spod liści wygrzebią salamandrę  
nagle stanie się lekko i bezproblemowo

gdzieś tam  
zza pazuchy mchu wyjrzy zmurszały fundament  
jego wilgotny oddech może spod przymkniętych powiek  
wywabić kilka postaci ze zdjęć w tonacji sepii  
z takich miejsc odchodzi się wolno z ociąganiem  
z przyczepionym do swetra liściem sprzed dziesiątek lat

po pajęczych nitkach po tropach sarny  
pociągniesz mnie na ścieżki do chmur  
nic nas nie rozproszy nie poderwie nie zmusi  
nic z klawiaturą nic bezdotykowe bezprzewodowe mobilne  
ani jednego piksela dookoła

gdzieś tam wysoko  
pogubi się czas na podniebnych rozstajach  
ukryty pod korą nie wybije godzin  
nie oznajmi kolejnych zmarszczek  
nic się tam nie wyczerpie nie utraci płynności zdolności mocy  
będzie tak jak powinno być  
nie dotkniemy ani jednej rzeczy która nie jest z lasu

z wszystkim wokół  
beztrosko będziemy wieczornieć  
siedząc na werandzie nieba  
przaśny złoty bochen słońca  
po kalenicy gór za horyzont  
przetoczymy jednym ruchem palca

## Równanie z wiadomymi

chodziło mi tylko o nienaelektryzowane przestrzenie  
o ten jeden nieforemny czworobok  
kawałek kosmosu z zaskrońcem i czajką  
między autostradą torowiskiem i księżycem  
o niezapalne płaszczyzny

z geometrią na bakier  
i patałach od algebry  
nie liczyłem na wiele  
choćby tylko te ułamki  
cieni i prześwitów

ale nie  
po pewnych deszczach  
liczby zaokrąglone i po przecinku  
rosną bujniej niż poezja w trawie  
sporządzono w pośpiechu zyskodajne jutro na zawsze  
po grzbiecie bażancicy siedzącej na jajkach  
i przez wylękły zagubiony tatarak  
wytoczono nieodwołalne proste

jak idący na szafot  
pochyliły się pokorne brzozy  
nie było żadnej niewiadomej  
geodeci niewinną przestrzeń  
poszatkowali sprawnie na kawałki



### III miejsce: Ewelina Cis – godło: Spojrzystość

#### **kleik**

palce lepiły się jej od światła  
(rozpuszczało się w tłustym mięsie makreli)  
moje z szybą kleił wieczór z melasy

cisza wrze, cisza łże

byłam dzieckiem nie miała serca  
powiedzieć na głos: to co nigdy  
nie jest zawsze to jest czasem

zresztą wtedy jak i teraz nie  
trzeba słów otwieramy okno  
i plujemy kurwami kto dalej  
ten dalej

## **exit**

to dzieje się jeszcze parę minut po

po tym jak opuszczasz pokój  
pozwolisz butom przejrzeć się  
w lustrze kucniesz by palcem  
pomóc im trafić na stopy na głowę

włożysz czapkę (u mnie w mieście  
woła się na taką dżokejka) a ręce  
wciśniesz w kieszenie gdzie czekają je  
klucze paragony rozsypane tiktatki

gałki krążą mi jak satelity takie  
tyci księżyce z mokrej porcelany  
wokół fotela welurowej planety  
która powoli robi wydech

rozglądam się slalomem omijam  
wymyślone wspomnienia wreszcie  
natrafiam na szybę (pokój jest krótki,  
ile można błędzić), a tam świat

klaszcze bije mi brawo moimi  
własnymi powiekami to do niego  
prowadzi wyjście, to znaczy wejście

**sza!tra**

jednoosobowym taborem podróżujesz

z pokoju do kuchni

z kuchni do łazienki

tam sikasz, uczysz się: to jest teraz twój kibel

twój cel: zamknąć niepokój o powierzchni ojca

co się w morzu kąpał pijany, więc bałaś się czy wróci

a on ma się dobrze i wraca za każdym razem

ale do siebie

ucz się: cisza to nie to samo co milczenie

od ciszy się nie umiera

## **Wyróżnienie: Krystyna Mazur – godło: Matka Poety**

### **Alzheimer**

#### **Widzę ją**

Znikanie boli najbardziej  
gdy zmieniam pieluchomajtki  
tłumacząc że nie jestem pan lecz syn  
Wiem że obaj są dla niej abstrakcją

jak Pan Bóg i Syn Boży Grzęźniemy  
w coraz bardziej ciasnych ścianach  
Chociaż ludzi z nich ubywa  
to każdy kąt zajmują Oni

Śmierć nadchodzi od srony języka  
Zamyka rzeczy w torebkach  
szuka butów pasujących tam  
gdzie Oni czekają

#### **Widzisz mnie**

Opuszczna przez słowa odnajduję spokój w ciszy  
Już nie muszę się podobać Staję nago przed ludźmi  
Przestaję widzieć ich usta gotowe do żarcia  
Gotowe by rozszarpać

Nie martw się gdy mówię zbyt krótkimi zdaniem  
i nie stawiam kropek Wykrzykniki okręcam wkoło obcych szyi  
Z nocnych koszul zdejmuję wielokropki których nie udało się odprać  
Zdania mrozę w zimnej wodzie

Brakuje słów by przekonać siebie że potrzebuję tylko kilku torebek  
by zamknąć w nich wiersze pisane w języku który przestałeś rozumieć  
Zaufałam Bogu który dał mi nogi Uciekam  
Zaufałam opuszczonym przez Boga słowom

Komuś trzeba zaufać  
w końcu

## Poeta na minie

Ś.p. W. Banachowi

Grasz prosto w oczy chowając skrzypiące niebo  
pod skrzydła Łapiesz wiatr  
w butelkę Potem słuchasz długo w noc  
dźwięczącego płaczu

Mówisz: Strach nie wdrapie się na trzecie piętro

a on zrywa Cię ze snu roztrzásając po kątach wiadomości  
nie z Twojego podwórka Wolałbyś łapać inne tematy  
Jednak oczy nieustannie wędrują po kocich łbach  
wdrukowanych w okna sąsiadów

Mówisz: Strach nie znajdzie mnie w tłumie

i idziesz myląc godziny ulice kanały  
Łądujesz w nieznanym śnie  
szytym grubą czcionką  
Grasz w nie moje oczy

**Wyróżnienie: Tadeusz Knyziak – godło: Nikos**

## **Przetrwanie**

nie obserwuję zaćmienia księżyca  
wolę gdy jest nadęty i zarozumiały  
zaćmienie przychodzi gdy przymykam powieki  
i gubię ledowe światło przejmujące władzę  
nad kurczącym się światem obrysowanym  
ścieżkami pomiędzy Lidlem Biedronką  
i Rossmannem

wmawiam sobie że ucieczka to przetrwanie  
a przetrwanie to wciąż tylko ucieczka

gdy pada deszcz szeroko zamykam oczy  
słucham muzyki drzew  
psim węchem wyłapuję zapach rzeki  
kocim zmysłem odkrywam urok życia  
wprawiona w ruch opróżniona butelka  
nieruchomiejąc wyznacza kierunek  
potem już tylko peron naiwnej nadziei  
i pociągi nie mające pojęcia  
że choć przez chwilę  
mogłyby być dla mnie byle jakie

przetrwanie to ucieczka  
ucieczka to przetrwanie

obejmują mnie ramieniem zakola rzeki  
lewitujące w zielonym zakręceniu  
a za nami ufnie kroczy las  
bez mapy i bez lęku  
że pomylę drogę

## **Brakuje słów, brakuje łez\***

jeśli pytasz odpowiem  
mój dom ma ściany  
schody  
okna

bo te gruzy  
kilka schodków  
okruchy szyb  
pośród pyłu i kamieni  
to wciąż mój dom

siostra pochowana na podwórku  
ojciec w stepowym dole  
przysłonięte dymem niebo  
to wciąż ja

słowo dziś  
bez szans na transplantację  
słowo jutro  
z ułudą reanimacji  
słowo wczoraj  
z uszkodzonym kręgosłupem  
to wciąż ja

wciąż jeszcze mój dom

\* słowa papieskiego wysłannika  
Konrada Krajewskiego  
w czasie wizyty na Ukrainie

## Kamienne niebo

blask chryzantem nie ułatwia rozstania  
jest ledwie pigułką łagodzącą ból przed snem  
w którym jestem jaszczurką i jednocześnie  
nadlatującym z góry jastrzębiem  
zmagam się z fantomowym bólem skrzydeł  
szponami wbijanymi we własny kark  
w gęstych i mętnych otchłaniach czegoś  
co ludzie zwykli nazywać niebem

najchętniej położyłabym się obok ciebie mamó  
na podświetlonym zniczami marmurze  
wystarczyłoby mi twoje milczenie  
i umiejętność słuchania  
potrzebuję tych rozmów

moja córka ma twoje oczy  
taką samą determinację i pewność siebie  
cieszę się z tego i jednocześnie boję  
ty też się o mnie bałaś  
brakuje jej babcinego wsparcia  
jeszcze bardziej ojcowskiego szeptu i pocałunku  
osiadającym na czole z cichym dobranoc  
ojcowskiej dłoni serca głosu nawet gniewu  
nic na to nie poradzę tak zarządził los  
tak zarządził on  
tak zarządziłam ja sama

wiele zrozumiałam i dalej mało rozumiem  
dojrzałam a wciąż czuję się niedojrzała  
uparcie sama wyznaczam drogę i wciąż błędę  
kurczowo trzymając się przekonania  
że moją największą miłością jest życie  
nawet jeśli nie potrafi okazać wzajemności  
zawsze będę to na własny użytek tłumaczyła



wrodzoną nieśmiałością

nie wiem czy naprawdę mnie słuchasz mamo  
kiedy żyłaś  
byłaś bardziej rozmowna

**I miejsce: Olga Sarwa – godło: Zapominajka**

**Gdyby drzewa miały głos, czyli krótką opowieść  
o pięknie i przekleństwie długowieczności**

Za młodu nie było mi łatwo. Przebijające się z trudem przez gąszcz wysokich koron promienie słońca jedynie z lekka muskały moje mizerne listki i wiotkie gałązki. W dodatku wielokrotnie mnie zdeptano. Leśna zwierzyna, a może i jeźdźcy gnający na swych koniach na przełaj? Tego już nie wiem, nie pamiętam, to było tak dawno temu.

Zaczęli zwracać na mnie uwagę dopiero wtedy, gdy wyrosłem, gdy to ja zabierałem już innym słońce i gdy pokrywająca mnie kora stała się twardą, spękaną z suchości zbroją. Wtedy właśnie dwóch chłopów z pobliskiej wsi, równie mizernych co ja przed wiekiem, zatrzymało się przy mnie, przekonani, że w tej spękannej korze widzą podobiznę jakiegoś świętego, a może i Najświętszej Paniutki we własnej osobie.

Potem zaś trafił się ten żołnierz. Tak, to chyba był żołnierz, choć nie pamiętam już nawet której wojny, czy na jego ramieniu wisiał łuk, bagnet, czy może karabin. Doczołgał się aż do mych wystających nad ziemię, poskręcanych korzeni i wtulony we mnie spędził swoją ostatnią noc. Ciało nigdy nie znaleziono i nie sprzątnięto, z tymi starymi, zeschniętymi korzeniami stworzył więc jedność.

Była też raz grupka roześmianych dzieci. Na najgrubszej gałęzi ktoś zawiesił dla nich huśtawkę, lecz huśtały się krótko, zaledwie moment. Dorosły, odeszły, odeszły na zawsze, a ja trwałem niezmiennie, aż w końcu wiatr zerwał huśtawkę, pozostawiając po niej jedynie dwie dyndające linki. Beztroski śmiech zaklęty w ptasim treliu lub niesiony wraz z szumem liści słyszałem jednak jeszcze długo, do tej pory zdarzy się czasem, że go usłyszę.

Ktoś jeszcze inny linkę pewnej nocy owinął sobie wokół szyi. Wisielca zdjęli, a między wykręczone korzenie wcisnęli znicz, zapewne nigdy nie myśląc nawet o tym, że upamiętnili nim znacznie więcej niż jednego nieszczęśnika.

Teraz póki co cisza i spokój. Znicz nadal stoi, choć obtłuczony i pozbawiony wieczka, a ludzie trzymają się na dystans. Co będzie potem, czy wszystko zacznie się od nowa, czy znów stanę się boskim znakiem? A może czeka mnie już tylko trzask pioruna bądź metalowa piła? Nie wiem i nie wiem nawet, jaki los dla siebie bym wybrał.

*Miniatura zainspirowana motywami leśnej natury oraz elementami personifikacji pojawiającymi się w tomiku poetyckim „Na chwałę słońca” autorstwa Wandy Niedziałkowskiej-Dobaczewskiej.*

## II miejsce : Patrycjusz Pilawski – godło: Helly Hansen

### Spotkanie po latach

Kiedy już spotkamy się po latach, usłyszę od ciebie: „Nic się nie zmieniłeś”. „Nic na to nie poradzę” – odpowiem, a ty z błyskiem w oku wyznasz, że nigdy nie przestanę cię zaskakiwać. Jeśli los zetknie nas w letnie popołudnie, pójdziemy do zaprzyjaźnionej kawiarni na dachu, gdzie wychyleni przez poręcz będziemy obserwować ruchliwe o tej porze roku uliczki. Nasze serca zaludni radość nie do opisania. „Fajnie byłoby tak zejść po ścianie” – rzucę mimochodem, po czym ty zapytasz: „Jak Spider-Man?”. „Nie. Jak Brian Molko w teledysku do Pure Morning”. Uśmiechniesz się szeroko i powiesz: „Szkoda, że nie jestem Roszpunką. Mógłbyś zejść po moich włosach”. Naszą coraz śmielszą pogawędkę przerwie sakramentalne pytanie kelnerki „Co dla państwa?”. Zamówimy dwie szklaneczki szkockiego elementu baśniowego z lodem i przez najbliższe pół godziny będziemy go wprowadzać do rzeczywistości. Stracimy ten czas doskonale. Potem zaproszę cię na wieczorny spacer, zwieńczony jak zwykle seansem filmowym w twoim salonie. Który to już raz obejrzymy Donniego Darko albo Podziemny krąg... Który to już raz zostanę na noc...

A jeśli akurat będzie jesień, umówimy się w ogrodzie botanicznym. Specjalnie spóźnię się na spotkanie, podejść niepostrzeżenie i zanucę ci prosto do ucha: „Karolina – takie było imię twoje”... Będziemy śmiać się jak dzieci w gabinecie luster (o ile wcześniej nie potraktujesz mnie gazem pieprzowym). „Stęskniłam się za moimi gupikami” – powiesz i zaciągniesz mnie do szklarni. Kiedy już tam wejdziemy, zanurzysz dłoń w sadzawce, a „twoje” pawie oczka zgromadzą się wokół niej jak piranie. Powiem wtedy: „Uważaj na palec serdeczny. Może ci się jeszcze przydać”, a ty popatrzysz na mnie z miną obrażonej królowej i zapytasz: „Serio? Chcesz ugotować naszą miłość w kuchennym rondlu?”. Na twoje dąsy odpowiem słowami piosenki: „I znów księżniczka Anna spadła z konia, i znów ironia opuściła nas”. Ale nie bój się, tym razem nie będę śpiewał. Oprzesz głowę na moim ramieniu, a ja obiecuję ci szeptem, że kiedyś w wyobraźni poprawię niedoskonałą rzeczywistość tego dnia.

Gdyby przyszło nam spotkać się zimą, zaproszę cię do siebie, nastawię wodę na herbatę i wszystko mi opowiesz. Ale nie od razu. Damy sobie czas. Powspominamy nasze ostatnie wakacje – dwa niezapomniane tygodnie spędzone w Burnham Overy, gdzie pojechaliśmy odwiedzić legendarny ceglany dom z niebieskimi oknami, uwieczniony w powieści pewnej brytyjskiej pisarki.

Wskrzესimy w pamięci długie lipcowe dni, które upływały nam na chodzeniu boso po wydmach, w poszukiwaniu króliczych nor, albo na pływaniu po okolicznych wodach. Godzinami mogliśmy podziwiać z łodzi malownicze zatoczki, a potem leżeć na pustej plaży i chłonać słoneczną ciszę. Nigdy wcześniej nie zaznałem takiego spokoju. Aż chciałoby się wziąć tamte chwile w dłonie i delektować się nimi przez resztę życia. „To były moje najlepsze wakacje” – powiesz. Przytulisz się do mnie i na moment zamilkniemy. Szczęście nie potrzebuje słów.

Ostatnio tak często puszczam wodze fantazji, że jestem w stanie sobie wyobrazić także wiosenny scenariusz naszego spotkania. Chciałbym z tobą pospacerować w jakiś niewweekendowy i niekoniecznie słoneczny dzień, gdzieś na obrzeżach miasta, blisko natury. W takich miejscach często przychodzą do głowy myśli nostalgiczne i głębokie. Kiełkują tam też niewypowiedziane nadzieje, obudzone przez rozpięty nad polami horyzont, przez przemykające w oddali samochody i ożywcze powiewy wiatru. Pójdziemy przed siebie bez pośpiechu, ledwie odrywając stopy od ziemi. Trzymając się po prostu za ręce, będziemy snuć rozmowę o rzeczach tylko nam znanych i drogich naszym sercom. Całkiem bezwiednie będziemy promieniować szczęściem, a wszyscy przechodnie, których wtedy spotkamy, pošlą nam dobrotliwy uśmiech, choć w głębi duszy będą nam zazdrościli.

Może to wszystko mrzonki, ale jednego jestem pewien: chciałbym przynajmniej jeszcze raz cię zobaczyć. Nieważne, nocą czy dniem, zimą czy latem, w znajomym czy obcym miejscu. Wystarczy, że będziesz blisko mnie. Możemy być najzwyczajniej w świecie szczęśliwi, jak mężczyzna z kobietą. Ale to kiedy już się spotkamy. Tymczasem idę rozklejać plakaty. Może ktoś cię gdzieś widział i zadzwoni.

### III miejsce: Piotr Zemanek – godło: Poematic

#### List

Piszę do Pana Boga. Ten list jest już chyba setny. Nie wiem, dlaczego wszystkie poprzednie wracały do mnie nieotwarte, jakby nie było na nich jednoznacznego adresu: Szanowny Pan Bóg – Niebo. Wysyłałem je regularnie w nieskazitelnie białych kopertach, starannie zaklejone a jednak odsyłał wszystkie z powrotem. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego to robi. Liczyłem, że jako Szanowany i Najważniejszy Obywatel Wszechświata zna *savoir-vivre*, wie co to *bon ton* i zachowa dobre maniery, jak przystało na Niebieskiego Dyplomatę albo chociażby dżentelmena. Ale nie! Możliwe, że postanowił udzielić mi odpowiedzi ustnej, kiedy już spotkamy się na Jego gruncie, ja jednak nie chciałbym tak długo czekać. Zastanawiałem się czy świadomie mnie lekceważy, czy też wynika to z nadmiaru Jego obowiązków i braku czasu. Ma ich przecież sporo, musi ciągle naprawiać świat. Poprawiać to co mu się nie udało, kiedy go stwarzał w pośpiechu, w zaledwie sześć dni (wiadomo, że jak się coś robi za szybko, to zawsze coś się spieprzy). Tylko, że czasu na to ma przecież całą wieczność, więc tę chwilę mógłby mi jednak poświęcić. Chyba że to, nie daj Boże, jakiś Jego urzędnik z lenistwa albo złośliwie, nie wpuszcza listonosza. (Za komuny, do pierwszego sekretarza, skargi też nie docierały.) A gdyby na przykład okazało się, że święty Piotr zagubił gdzieś klucze od bram nieba i dlatego nie można dostarczyć korespondencji, naprawdę miałbym się czym martwić. Możliwości jest wiele. Zupełnie nie wiem, co o tym sądzić.

W pierwszych listach pisałem dokładnie o wszystkim, od początku do końca. Pytałem o przyczynę wszechrzeczy. Powód istnienia i kreacji bytu. Chciałem zrozumieć sens tworzenia i tajemnice słowa. Dowiedzieć się, gdzie leży prawda o tak zwanej wolnej woli i jednocześnie poznać wszystkie boskie plany. Później, znużony oczekiwaniem na odpowiedź, pisałem coraz krócej. Pomyślałem, że może zniechęcają go długie listy i tak ma przecież dość pracy w tym swoim niebie, więc list za listem pisałem o kilka zdań lub wyrazów mniej. Liczyłem, że doceni moje starania, żeby nie zabierać mu, z tej Jego jedynej i jednorazowej wieczności, zbyt dużo cennego czasu, jest przecież w sumie dość zajęty. Chyba jednak ich nie zauważył albo uznał, że na to nie zasługują. Listy były coraz krótsze i lżejsze, a mimo to, jeszcze szybciej do mnie wracały. Być może czytał je przez zamkniętą kopertę, podobno nawet niektórzy ludzie to potrafią. Na przykład taki iluzjonista, niejaki Hanussen, całkiem nieźle na tym

zarabiał, zadziwiając i zachwycając publiczność. Co prawda, było to jeszcze przed wojną, więc Bóg myśli może, że teraz to już jest *passé*. Tylko po co odsyłałby mi wszystkie listy z powrotem. Czy ktoś jest w stanie mi to wyjaśnić? Systematyczne skracanie moich epistolograficznych wypowiedzi spowodowało, że tym razem wypadałoby mi napisać już, tylko jedno słowo. Tak, dokładnie jedno! Mógłbym nic nie pisać i wysłać czystą kartkę albo pustą kopertę. Przecież jako Wszechwiedzący i tak będzie wiedział, co chciałem mu powiedzieć, ale być może, właśnie ten setny list zechciałby zobaczyć, otworzyć... I cóż by się stało? Wziąłby mnie za jakiegoś ignoranta, niespełna rozumu petenta i jeszcze spuścił na mnie jakąś karę bożą. Nie, wolę nie ryzykować. Właśnie niedawno dostałem spadek i zacząłem inwestować na giełdzie, mógłby mi popsuć interesy. Co gorsze, mógłby potraktować mnie jak analfabetę i jako zbędnej, pozbawić całkowicie weny twórczej, z którą żyje mi się, jak dotąd, całkiem dobrze (świetnie gotuje). A do tego, ze zrozumiałych względów, absolutnie nie chciałbym dopuścić. Dla przyzwoitości i we własnym, dobrze rozumianym interesie, wypada mi zatem napisać chociaż to jedno słowo.

Piszę więc: Szanowny Panie Boże... Nie! Zapomniałem! Przecież nie mam już słów, nawet na nagłówki. A adres? Niepotrzebny! No, nie! Jeśli nawet na kopercie nie będzie żadnego adresu i tak będzie wiedział, że to do Niego. Jest Bogiem. Wyciągam więc czystą kartkę, recytuję z pamięci cały tekst, który na skutek wielokrotnego przepisywania, zdążył mi się już utrwalić, na dole piszę tylko jedno słowo! Zaklejam kopertę, naklejam znaczki i wyrzucam za okno, życząc dobrych wiatrów. Właściwie mógłbym, chyba z równym skutkiem, wrzucić ją do kosza, ale nie jestem Michałem Jordanem i z pewnością nie zyskałbym tym, rekompensującego kolejne rozczarowanie, aplauzu. Dlatego kończę, z pełną powagą, serdecznie Pana, Boże, pozdrawiam, łącząc wyrazy szacunku i braki wyrazów... „Nara”!

I nagle z góry odzywa się głos jak grom i słyszę: „zara”, jakie „nara”? Co ty mi tu focha strzelasz. Już sto razy chciałem ci odpisać, ale gdy tylko usiadłem na swoim boskim tronie i zanurzyłem anielskie pióro w niebieskim kałamarzu, za każdym razem, natychmiast, zupełnie zapomniałem po co to robię. A ty bez przerwy słałeś te listy i słałeś, jakbyś nie miał nic innego do roboty. Z szacunku dla moich siwych włosów, mógłbyś przestać zawracać mi głowę! A ty się ciągle pytasz i pytasz, dlaczego i po co stworzyłem ten świat. Zwariowałaś? Istnieję już prawie sto miliardów lat, myślisz, że ja to wszystko pamiętam?

## Wyróżnienie: Iga Rusek – godło: Róża II

### 12.00 w Warszawie

Grymas codzienny. Przybrałem go, by dopasować się do otoczenia. Zrzucić skórę prawdziwą i zamienić ją na zbiorowy, powszedni grymas. Żebym mógł wsiąść do tramwaju i dojechać do pracy w bibliotece. Bezpieczna próżnia przeznaczona jest dla nieznanym.

Subtelny uśmiech dedykować mogę jedynie sąsiadom w mojej kamienicy. Wsiadam do tramwaju. Umysł pilnuje oczu, które zaciekawione krajobrazem za oknem usilnie próbują wyrazić fascynację barwą jesieni. Nie pozwalam. Rozglądam się po twarzach mieszkańców Warszawy goszczących dziś o 12 w tramwaju. Wysublimowany grymas – przybrany, wyuczony, mimowolny lub narzucony, by wpasować się w schematy.

Kolekcjonuję twarze tramwajowych sąsiadów i widzę jak niezawodny mechanizm powtarza każdemu, taktując na trzy: podziw dla własnych butów, spojrzenie w szybę, sprawdzenie następnego przystanku.

Zanim zdążyłem zerknąć na ekran z przystankami, mój wzrok spoczął na delikatnych dłoniach trzymających aparat. Należały do dziewczyny o krótkich włosach w odcieniu jasnej miedzi. Miała wzrok wpatrzony w migający za oknem film poklatkowy w postaci zmieniających się rytmicznie krajobrazów miasta. Rezygnując ze swojej apatii przyglądałem się dziewczynie z naprzeciwka. Kiedy tramwaj zatrzymał się na przystanku, przyłożyła obiektyw aparatu do szyby i sfotografowała miejski, popielaty budynek starego kina. Następnie migawka uchwyciła podwórko jednej z ulicznych kawiarni, ciemnozielony kiosk odrapany z farby i bramę do parku pełnego kasztanów. Nie mogłem się oprzeć potrzebie i złamałem tradycyjną zasadę współczesnych środków komunikacji miejskiej.

- Też kiedyś miałem taki aparat, jak Pani – powiedziałem, a ona spojrzała na moją 65-letnią twarz pozbawioną grymasu.

Obróciła aparat w dłoniach i uśmiechnęła się lekko.

- Lubię go, trzyma w sobie jakąś część świata.

- Fotografia to dobra rzecz, coś o tym wiem – kontynuowałem rozmowę, czując na sobie spojrzenia.

- Wciąż Pan fotografuje? – zapytała dziewczyna.

- Przestałem – odparłem patrząc w szybę. – Zrozumiałem, że im więcej zdjęć robię, tym mniej zapamiętuję. Skupiam się jedynie na kadrach i ulatuje mi prawdziwe wspomnienie.



Na twarzy dziewczyny pojawiło się nagle zdziwienie. Spojrzałem na ekran z przystankami. Przegapiłem swój. Przeprosiłem i podniosłem się z siedzenia. Kiedy drzwi pojazdu zamknęły się za mną, pomyślałem, że ta krótka rozmowa zachwiała szarością tego dnia. I to co najmniej dla dwóch osób jadących tym tramwajem. Podziękowałem sobie w duchu za uwolnienie emocji uciskających mi żebra niczym gorset podczas tej podróży. Nie mogłem wytrzymać już tej ciszy, bezbarwności, znużenia. Przypadkowo wróciło mi też wspomnienie młodości.

- Proszę się odsunąć. Stoi Pan na środku – odezwał się jeden z przechodniów, odpychając moje ramię. Rzeczywiście stałem na środku chodnika.

Czekał mnie długi spacer do pracy. Nałożyłem na twarz solidarny grymas i dopinając brązowy płaszcz, ruszyłem prawą stroną chodnika do biblioteki. Mijające mnie twarze zlewały się w jeden kapryśny wyraz. Przygarbione figury przypominały skradające się w mrozie postacie, które starają się przemknąć przez miasto niezauważone. Puste sylwetki o nieznanym życiorysach. Udałem, że wcale nie intryguje mnie świat. Udałem, że widzę tylko czubki własnych butów i pilnuję, żeby nie potknąć się o nie.

Udoporniony przez mieszkańców miasta na jego wdzięk, dotarłem do pracy. Byłem zniesmaczony własną postawą, która postanowiła dopasować się do społeczeństwa.

- Dzień dobry – przywitałem ochroniarza.

- Szary, ponury, wcale nie dobry – odparł smętnym głosem.

Może należało jednak zachować zgorzkniałość. Usiadłem w swoim fotelu za biurkiem i założyłem okulary z czerwonymi oprawkami. Mimo spóźnienia się do pracy, moja obecność w pomieszczeniu nie była niezbędną. Biblioteka była pusta. Rozejrzałem się po przepełnionych półkach. Wszystkie książki ułożone alfabetycznie, precyzyjnie, stabilnie. We mnie też wszystko poukładane. Wiem, kiedy się uśmiechać. W domu.

Biblioteka osamotniała jesienią. Ludzie przestali do mnie przychodzić, więc ścieram tylko kurz z półek. Ludzie osamotnieli. Ubierają się w grymasy, spracowani, przemęczeni, wypruci. Zajmują się tylko własnym życiem uwięzionym w szczelnie zamkniętej szkatułce, okrywając się posępną powłoką. Poprawiłem okulary i nagle zobaczyłem na biurku pod plikiem kartek dokument z moim nazwiskiem. Papier okazał się być zwolnieniem z pracy.

Pozwoliłem grymasowi codzienności przejąć nade mną kontrolę. Skrzywiłem się. Nikt już nie potrzebuje mojej biblioteki. Zaraz pod dokumentem leżała druga kartka, będąca wezwaniem do sądu za rozmowę w tramwaju, zatrzymanie się na środku chodnika oraz powitanie ochroniarza. Westchnąłem.

Może jednak przydałby mi się taki aparat, przerywający dopływ pamięci.  
Zachowałbym tylko ten świat młodości, obecny wyrzuciłbym do kosza.

## Wyróżnienie: Maciej Dworowy – godło: Matwiej

### Ojciec

Wielkanocne śniadanie w domu Łuczaków od początku było bardzo nerwowe. Anna przyrządzając potrawy co rusz musiała upominać trójkę swoich dzieci. Szesnastoletnią Martę oraz jej młodszych braci Wojtka i Sławka. Najgorsze miało dopiero nadejść. Zaraz bowiem miała przyjść jeszcze siostra Anny z mężem i dwójką swoich dzieci. Ich przybycie zawsze gwarantowało większy harmider i bardzo głośne zabawy, a czasem nawet bójki. Ostatni do domu dotarł mąż Anny - Łukasz.

Nic jednak nie mogło przygotować Anny i jej dzieci na to co wydarzyło się w trakcie śniadania.

Około dziewiątej do stołu w jadalni zasiadło osiem osób. Troje dorosłych i piątka dzieci w wieku od szesnastu do ośmiu. W panującym gwarze nikt nie zauważył jak do domu wszedł intruz.

- Tata! - zawołała nagle Marta.

W jednej chwili zapanowała grobowa cisza. Wszyscy zebrani przy stole odwrócili się w kierunku stojącego w drzwiach pokoju mężczyzny. Każdy wpatrzony był w mężczyznę. Dłuższą chwilę nikt się nie odezwał. W końcu Anna zdecydowała się na ruch. Wstała i ostrożnie podeszła do mężczyzny.

- Robert? - zapytała. - To ty?

- Co tu się dzieje? - odpowiedział spojrzawszy na kobietę.

- Ale jak? Przecież ty...

- Kim jest ten facet? - wskazał na bladego jak ściana Łukasza.

- To...

- Cześć. Jestem Łukasz - przerywając Annie wstał i wyciągnął rękę w stronę Roberta. Ten złapał go za gardło i rzucił nim w stronę drzwi wyjściowych z domu.

- Kim jesteś? - krzyknęła Anna widząc jak ciało Łukasza uderza o podłogę.

- Co on tutaj robi?

- Jest moim mężem. Co ty tutaj robisz? - krzyczała kobieta.

- To ja jestem twoim mężem. Mieszkam tutaj. - odparł spokojnym głosem, a odwracając głowę w stronę wstającego się z podłogi Łukasza, dodał. - Wynoś się z mojego domu.

Łukasz nie miał zamiaru jednak wychodzić. Ruszył w kierunku Roberta i szybko tego pożałował. Złapał się za gardło, z którego buchnęła krew. Robert

tymczasem wycierał ostrze noża o własne spodnie. Anna doskoczyła do ukochanego, który w tym momencie upadł na podłogę. W konwulsjach oddał na jej rękach ostatnie tchnienie. Zaraz też doskoczyli do nich Wojtek ze Sławkiem.

- Tato - obaj płakali nad zwłokami swojego ojca.

Anna spojrzała złowieszczo na Roberta.

- Zabiłeś go! - wrzeszczała zapłakana Anna. - Zabiłeś! Morderca! Jak mogłeś?

Rzuciła się na niego z pięściami. Niewzruszony wytrzymał jej atak a następnie przytulił do siebie.

Z krzesła zerwali się Mariusz z Bożeną. Stanęli z boku nie wiedząc co robić. Przyciągnęli do siebie swoje dzieci. Obserwowali dalszy rozwój wypadków.

Marta również wstała. Podeszła do ojca. Wtuliła się.

- Tatusiu. Tak bardzo tęskniłam - po policzkach pociekły jej łzy. - Tyle lat cię nie było.

Objął ją czule i pocałował w głowę.

- Kocham cię mój skarbeczku - odezwał się. - Nawet nie wiesz jak bardzo za wami tęskniłem. Teraz już nikt i nic nas nie rozdzieli.

Tkwili wtuleni w siebie.

Tę sielankę przerwało wtargnięcie do domu uzbrojonych mundurowych. Zza ich pleców wystąpiło czterech mężczyzn w garniturach.

- Dzień dobry - rozpoczął jeden z nich. - Obawiam się, że musimy państwu przerwać to rodzinne spotkanie.

- Kim jesteście? Czego tu chcecie? - Anna nie przestraszyła się wycelowanych w nich karabinów.

- Przybyliśmy po niego.

Następnie mężczyzna zwrócił się do Roberta. - Musisz wrócić do Ośrodka.

- Nie. Nigdy tam nie wrócę - próbował stawiać opór, ale paralizator skutecznie mu to uniemożliwił.

Mundurowi wyprowadzili Roberta z domu. Mężczyzna w garniturze wydał dyspozycje i wszyscy opuścili dom. Pozostała tylko Anna i Marta, z którymi usiadł przy stole.

- Jak panie wiecie, Robert zginął dziesięć lat temu w wypadku w Rządowym Ośrodku Badawczym - wyjaśnił agent jednocześnie pokazując swoją legitymację ABW. - Długoletnie tajne śledztwo wykazało, że jego podwładny wykorzystał pracę w Ośrodku i używając krwi zmarłego dokonał procesu klonowania. Ten mężczyzna to nie jest pani mąż. To jego dokładna kopia.

- To nie był klon. Rozpoznałabym.

- Jak już mówiłem, to dokładna kopia...

- Niech mi pan tu nie pieprzy. To był mój mąż - Anna czuła, że traci nad sobą panowanie. - Okłamaliście mnie.

- Pani mąż nie żyje. Ten to tylko klon.

- Tatuaż też sklonowaliście? - wtrąciła się Marta. - To był tata.

Oboje spojrzeli na dziewczynę.

- Na mnie już czas - agent pożegnał się i ruszył w kierunku wyjścia.

Kiedy już wsiadł do samochodu, Anna zwróciła się do Marty.

- Jaki tatuaż? O czym ty mówisz?

- To była nasza tajemnica. Tata zrobił sobie dla mnie taki mały symbol.

Wszyscy myślą, że to pieprzyki.

- Kiedy to zrobił?

- Pamiętasz ostatni weekend taty w domu. Byłam bardzo marudna. Zabrał mnie na lody do centrum. Wstąpiliśmy wtedy do salonu. Tata, żeby mnie rozweselić zrobił sobie mały tatuaż. Myślę... że tata się czegoś obawiał.

- On nie wiedział o tatuażu albo...

W tym momencie usłyszeli ogromny huk. Potężna eksplozja wstrząsnęła całą okolicą. Doskoczyli do okna. Kolumna samochodów rządowych stanęła w płomieniach. Gęsty dym spowił całą okolicę.

Marta wyjęła z tylnej kieszeni spodni telefon. Nacisnęła na ekranie zieloną słuchawkę.

- Jeszcze się zobaczymy - usłyszała znajomy głos. Uśmiechnęła się. Łzy popłynęły jej po policzkach.

**I miejsce: Aleksandra Pańpuch – godło: Joanna**

**Chciałabym**

Wiosna patrzy na świat z radością  
Nie odwraca od niego głowy jak obolała jesień

Ciesz się że chcesz iść razem z nią  
Przytulając się do jej ciepła  
Słuchając pełnych radości  
Opowieści o przebudzeniu

Wiosna jak każdy pragnie czułości  
Wie że zostanie nią obdarzona  
Bo nikt nie odtrąci optymistycznego zapachu  
Główek kwiatów wtulonych ostatni raz w zielone czapeczki  
Akustycznych historyjek ledwo rozwiniętych listków  
Świeżych ptasich konwersacji

Chciałabym być wiosną  
Ona nie musi zabiegać o popularność

## **Słońce**

Woda śpi

Śni jej się słońce  
Wbiegające na bieżnię wody  
Żeby zabawić się w chowanego  
Rozpocząć bieg z przeszkodami  
Po którym roztopi się i zniknie bez śladu  
Bez „do widzenia”

Woda śpi

Tęskni za słońcem  
Już wie że księżyc jest nie tylko niestały ale i nudny  
Jego lodowata powaga może zniechęcić każdego  
Woda ceni poczucie humoru  
Dlatego słońcu tyle wybacza

Woda śpi

Uśmiecha się  
Śni jej się słońce

## List

Dlaczego się schowałaś Atlantydo  
Obraziłaś się na świat  
I zniknęłaś z jego powierzchni  
Żeby ukarać ludzi  
którzy się okazali beznadziejnymi uczniami historii

Jestem przekonana że wynurzysz się z głębin  
Umożliwisz nam wzięcie udziału w lekcjach dobra i piękna  
Wtłoczysz w puste głowy że pieniądze nie są najważniejsze  
Że bezcenny jest bezpośredni kontakt z drugim człowiekiem  
Kwiaty i drzewa  
Solidna łódka rozsądku brnąca przez ocean obłądu

Przebacz niewdzięcznym  
I wróć  
Bo nie możemy już tak żyć dłużej  
Chcę żebyś wiedziała  
Że otwierając oczy każdego dnia  
Kurczowo trzymam się nadziei  
Że to nastąpi dziś  
Atlantydo, moja Arkadio



## II miejsce: Jakub Miklus – godło: Miklusik

### **Jak Tuwim**

Chciałbym poczuć piękno  
słów  
złapanych mimochodem  
od niechcienia  
w sidła wiersza

Wychodzę jak Tuwim  
na łów słów  
nieokiełznanych  
Bawią się w ciuciubabkę  
Niestety

Delektuję się wonią ciszy  
Na rzesach kołyszę epitety  
Przytulam porównanie  
Puszczam je z wiatrem  
Osobno umierają z tęsknoty  
Niestety

## **Nieznajoma z przystanku**

Przystanek omdlały z zimna  
towarzyszy bezgłośnie  
nieznajomej  
Na ustach maska  
z czarnej teraźniejszości  
Czerwień wylała się  
poza kontur warg  
Trzyma łązy na wodzy  
zostawiły ślady  
na przesadnie umalowanej twarzy  
Ośmielam się wyszeptać słowa  
które wrzeszczą w głowie  
Wstań!  
Wstała jak odłamek szkła  
z rozbitego lustra

## **Dostałem kosza**

Wieczór spadł zniecka  
Pełzną warkocze październikowych mgieł  
Nie przyszła  
Przechodzą bezgłośnie urywki rozmów  
Nie sklejam objaśnień na ulicy  
Przygniata mnie balast pustych myśli  
Umieram tęsknotą za tysiącem spojrzeń

Dostałem kosza  
Przytuliła mnie zielen kanapy  
Krawat zasnął na krawędzi krzesła  
Ja nie

### **III miejsce: Antonina Mrowiec – godło: Mrotosia**

#### **W anielskim ogrodzie**

Zwabieni niebiańskim aromatem  
wstąpili do anielskiego ogrodu

Dryfowali po jeziorze serdeczności  
opryskiwali się kroplami empatii

Wśród kwiecistej łąki  
niczym zapracowane pszczoły  
spijali drogocenny nektar czułości

Sycili się  
łagodnością stokrotek  
pokorą konwalii  
dyskrecją niezapominajek  
wiernością fiołków

Muskani promieniami zaufania  
przysiedli w altanie zwierzeń  
delektują się pokrzepiającą filiżanką bliskości

Szczęśliwi ci, co zabłąkani w ogrodzie przyjaźni!

## **być aniołem**

Chciałabym być aniołem  
w szpilkach niebiańsko wysokich  
w sukience w krzywe serduszka  
z czapką na bakier  
z fryzurą rozwietrzoną  
z twarzą bez retuszu

Dlaczego?

Bo tam w niebie wieczne szczęście

Bo tam anioły nic nie muszą

Bo tam nikt już nic nie gdera

Bo tam można być sobą

## **Na tronie Życia**

Prawda zapukała do drzwi  
Utracono jej ręce  
Nie weszła

Obłuda zastukała obcasem  
Patrzy bezczelnie prosto w oczy  
Weszła

Świat stanął na głowie  
Prawda prześliznęła się bezszelestnie  
Zasiadła na tronie Życia

## Wyróżnienie: Grzegorz Sobkiewicz – godło: Grechut

### chcę być oszustem

chciałbym oszukać

czas

cichutko zabrać mu zegarek

schować kalendarz

ukryć klepsydrę

cofnąć maleńki stoper

ta by się pogubił

nie doliczył

nie dał rady

nieustannie

rytmicznie

niestrudzenie odmierzać

minuty zabawy

godziny snu

sekundy wzruszeń

wieki nauki

kwadrans smutku

tygodnie życia

doby oczekiwania

myślę, że wtedy

zapomniałby o mojej babci...

## **zdarzenie...**

dzisiaj znów potknąłem się  
o swoje słowa  
a one  
wyleciały ze mnie jak bomby  
rzucone bez celu  
wpadając w mamę  
zmiądzły nadzieję  
oczekiwania  
rozerwały jej szczere serce  
rozdarły je na tysiące kawałków  
chyba nie uda mi się go skleić  
rykoszetem dostało się babci  
mojemu aniołowi  
o wróblích skrzydłach  
jej ciepła dusza  
ucierpiała najbardziej  
poszarzała i cichutko  
zapłakała  
nie ominęły siostry  
z impetem roztrzaskały jej  
dobroduszość  
siostrzana wyrozumiałość  
rozsypała się jak  
płatki jaśminu  
na wietrze  
i zrobiło mi się  
straszenie smutno  
bo to kilka słów  
a z siłą wodospadu  
przybiły tych których  
kocham  
wyfrunęły jak czarne kruki  
gromowładne pociski  
i z głuchym jękiem  
odebrały nam wszystkim



wiarę  
we mnie...  
cisza boli

## **poranek**

oddechem wczorajszego dnia  
z upartą odwagą  
maluję każdą nową chwilę  
mgłą wspomnień  
głaszczę nowy upragniony początek  
płachtą nadziei  
zakrywam to co niesie świat  
obłudny  
przez palce spoglądam na spektakl życia  
moje myśli wirują  
czuję złociste promienie słońca  
jak łaskoczą moją duszę  
wylewają się na światło dnia  
pieszczą ciepłymi promieniami  
dają radość  
a ja stoję pośrodku  
z zadartą głową  
wyglądam tego co nieuniknione...

## **Wyróżnienie: Hubert Kulczyk – godło: Hubku**

### **Inwazja**

Broń i krzyż, krwawy taniec,  
Ziemia drży, a niebo płacze,  
Mieli ponoć rację przepowiadacze,  
Jutro wszystkie serca na szaniec!

Krzyk i cierpienie, gdzie nadzieja zdradza,  
Prawdziwe piekło - żywa śmierć determinacji,  
Nic nie pozostało z wielkich aglomeracji,  
Strach i odwaga - dwuwładza?

Wszyscy w szeregu zmobilizowani stają,  
Wojna króluje, a rozum szaleje...  
Gdy dzwon bije i dźwięk trąby szeroko wiatr rozwieje,  
Nagle koniec, zaprzestają...

## **Wczorajsza burza jutra**

Burza życia przetacza się głośno,  
Serce stwardniałe, oczy obolałe.  
Błędne słowa już rozniosło...  
Nasze relacje niczym lód stopniałe.

Słowa milczenia, gesty skwaśniałe,  
W sercu pustka - przestrzeń bez niczego.  
Osobowość rozdarta na strzępy, wewnątrz spróchniałe,  
Spory bez sędziego...

Te pioruny niosą zmianę,  
Choć trudno to przyjąć, trzeba iść naprzód, dalej!  
Teraz nowy początek, nowy los,  
Kolejne zakręty i zwroty za rogiem.

Co było wczoraj?  
To niepojęte koło!

## Rozdroża

W codzienności szarej, gdy chmury zasłaniają słońce,  
Wystarczy spojrzeć inaczej, by zobaczyć nowe szlaki.  
Stojąc na rozdrożu, szukamy odpowiedzi,  
Którą drogę obrać we mgle?

W pogoni za majątkiem, w biegu po złoto,  
Zapominamy o wartościach, o miłości, o ludziach...  
Wszystko dla bogactwa, dla chwały, dla mienia...  
Między pracą a rodziną,  
Między spełnieniem a sumieniem.

Chcemy być silni, a jednocześnie czujemy się słabi,  
Biegniemy po sukces, ale boimy się porażki,  
Pragniemy miłości, lecz obawiamy się zranienia,  
Dążymy do doskonałości, choć wiemy, że jest niemożliwa.

Wybory jak krzyżówka wątpliwe.  
Jak słońce i deszcz  
Dwie różne istoty.

Wnętrze urządza różne bojkoty...  
Najlepiej rozkłada się zawsze namioty,  
Dopadną tam jednak zawroty!

**I miejsce: Jan Kocot – godło: Tobi**

**Cud nad Wisłą**

Cień sosny pada na moje rozżarzone policzki. Już trzeci dzień jedziemy konno przez lasy. Wizja całkowicie wolnej Polski stała się taka bliska, taka realna... Trzeba tylko odepchnąć rosyjską, czerwoną dłoń... Czuję, że szczęście jest tuż, tuż...

- Janek! – słyszę słowa generała Żeligowskiego. – Jest rozkaz.

- Tak jest! – odpowiadam posłusznie, prostując się w siodle i salutując.

- Nasi donieśli, że nacierają dwa radzieckie związki taktyczne jednej dywizji z 3 Armii Łazarewicza i jednej z 16 Armii Sołłohuba. Nacierają one na Warszawę z kierunku północno-wschodniego. Podejrzewamy, że jedna z nich ruszy na Pragę, a druga skręci na Jabłonną. Ty mój drogi druhu, musisz zacząć się do obozu wroga i wykraść jego plany strategiczne.

- Ttt..aak jest! – salutując znowu, jękając się trochę nerwowo.

- Wara ruskim łapom od naszej ziemi–zaciskam pięści.

Nagle dopada mnie tęsknota. Zawsze, wieczorową porą matuchna rosołem mnie częstowała. Jakże ona moje kędzierzawe pukle głaskała. Schylam się i sięgam po coś, co ukryłem głęboko w kieszeni munduru. Oto namiastka mojego życia, moich tęsknot. Po chwili trzymam w dłoni czarno-białą fotografię matuli. Pewnym ruchem wsiadam na konia i galopuję przed siebie. Po chwili zdaję sobie sprawę, że dotarłem do miejsca, gdzie stacjonuje obóz wroga. Słyszę szum płynącej niedaleko Wisły.

- Są, parszywe bestie! – przeklinam na widok krzątających się Rosjan. Nagle słyszę tętent kopyt. Czuję, że zwierzę pędzi gdzieś obok mnie.

- Pewnie musiał koń ponieść – wypowiadając te słowa, zastanawiam się równocześnie, co mogło się stać z jeźdźcem.

- Auuuu!!! - dochodzi do mnie niemal zwierzęcy krzyk. Odwracam głowę i nie namyślając się długo, podążam w stronę usłyszanego dźwięku.

Dochodzę pod ogromną sosnę, tam dostrzegam zarys postaci. Odruchowo wyciągam rewolwer.

- To Rusek! – krzyczę sam do siebie.

Moje przypuszczenia naraz potwierdzają się. Spoglądam na blondwłosego jeźdźca, którego zrzucił koń.

- Mam cię, parszywy szczurze - syczę przez zęby.

Spoglądam na gwiazdy. W moich myślach na powrót pojawiają się kochani ludzie, których umęczyli Rusczy. Naraz nachodzi mnie chęć rozszarpania mojej ofiary na kawałki. Ładuję broń, śmiejąc się cynicznie.

- Już po tobie – mówię wolno, przeciągając sylaby.

Postać kuli się niczym małe dziecko. Jego noga bardzo krwawi. Dopiero teraz gwiazdy oświetlają jego twarz, której z ciekawością się przyglądam. Blondwłosego chłopak wygląda bardzo młodo, to dziecko prawie. Śmieszny, zadarty nosek kontrastuje z poważnym mundurem, jaki ciąży na nim.

- КТО ТЫ? – słyszę obcą, zniechęconą mowę.

- Janek – rzeczę bez namysłu. - Ile masz lat? –sam nie wiem, dlaczego zadałem to pytanie.

- Siedemnaście, dzisiaj kończę – słyszę odpowiedź, zdając sobie sprawę, że z moją przyszłą ofiarą wiąże mnie ta sama data urodzin.

- Będziesz umierał jak pies – rzucam nagle.

Chłopak kurczy się ze strachu, a jego błękitne oczy napęcznieją się łzami. Bawi mnie jego strach, przez to czuję, że mam władzę i przewagę nad swoją ofiarą. Wymierzam pistolet prosto w serce chłopaka. Tamten szepcze coś pod nosem, chyba modlitwę. Wokół nas cisza staje się jedynym świadkiem całego zajścia. Trzymam za spust. Ręka trochę mi draga. Zaraz będzie po wszystkim, zaraz doniosę naszym, gdzie stacjonuje wrogi obóz. Będę bohaterem. Może sam Piłsudski wręczy mi odznakę, a matula będzie ze mnie dumna.

- Poczekaj – z letargu wyłania mnie głos chłopaka.

- Pozwól mi się pożegnać – szepcze cichutko.

- A z kim ty miałbyś się żegnać? Ze swoim Leninem? – rzucam kpiąco, jednak macham ręką coś na znak zgody.

Chłopak pośpiesznie szpera coś w kieszeni munduru. Wydaje mi się, że znalazł to, czego szukał, bo swoja zdobycz przyciska do ust i szepcze:

- мамаша, moja mamuszka! Do widzenia! Nie stanę się bohaterem, tak jak ci obiecywałem – łza kapie mu po policzku. Patrzy na świecące gwiazdy, jakby szukał wśród nich kogoś znajomego.

Zaciekawiony całą sytuacją, wolno podchodzę do niego. Pistolet ciągle jest wycelowany w moją ofiarę. Jednym ruchem ręki, wytrącam młodzieńcowi to, co tak bardzo mnie zaciekawiło. Niespodziewanie, odkrywam, że źródłem mojej ciekawości stała się mała fotografia. Blask gwiazd oświetla pomietaną kartkę.

Przyglądam jej się. Na niej widnieje uśmiechnięta kobieta w kapeluszu. Bije od niej takie ciepło, taka miłość, zupełnie jak...

- ...jakby to była moja matka – szepczę zaskoczony swoim odkryciem.

- Mamuszka! – wtóruje mi chłopak. - Już nie zostanę jej bohaterem.

- Dla matki zawsze nim będziesz – słyszę zaskoczony swoimi słowami.

Nagle dzieje się coś niespodziewanego. Jakby wbrew sobie, odkładam rewolwer i pomagam wstać chłopakowi. Drę kawałek mojej koszuli i opatruję krwawiącą ranę. Wyjmuję butelkę z wodę i poję jego spragnione wargi.

- Dlaczego to robisz? - zadaje mi pytanie, na które nie znam odpowiedzi.

- Cud – szepczę w końcu. Odpowiada mi szumiąca w tle rzeka - Cud nad Wisłą – dopowiadam.

- Dziękuję – słyszę z jego ust.

Podaję mu fotografię i gładzę ją czule.

- Do zobaczenia po bitwie – szepczę. – Życzę ci, aby twoja matula była z ciebie dumna.

- Oby kiedyś nastąpiły takie czasy, że będziemy mogli nazywać siebie przyjaciółmi – klepie mnie tamten po ramieniu.

Ja jednak nie słyszę już jego słów. Wsiadam na konia i pędzę przed siebie. Wiatr wieje mi w oczy. Myślę o wydarzeniach, jakie rozegrają się w najbliższych dniach. Nadzieja zalewa moje serce...



## II miejsce: Aleksandra Złotkowska – godło: Otilie

Rzecz w tym, że Otilie Feldstein sama zgłosiła się do mnie z prośbą. Nie korzystała ze skrzynki mailowej, a technologia jako taka - nie licząc telefonu stacjonarnego oraz telewizji kablowej, o czym miałam się wkrótce przekonać - stanowiła dla niej cudactwo, stąd też bezwarunkowy dlań odruch, by skontaktować się ze mną listownie.

Propozycja wspólnych interesów dotarła przelana na papeterię w kolorze kości słoniowej, ze złotymi zdobieniami i wytłoczonymi starannie wzornikami o kształcie latających turkawek. Byłam niemalże zdruzgotana, że ktokolwiek miałby zmarnować tak drogi papier na zwyczajny list.

Nie rozpoznałam jej po nazwisku, nie w pierwszej chwili. Jestem dzieckiem ludzi pokolenia, które to zapragnęło wyzwolić się od skruchy i pokutowania powojennych Niemiec - wychowano mnie z dala od uciążliwych segmentów przeszłości, a podstawówka, do której uczęszczałam, prowadziła zawoalowany ostro program lekcji historii. Nic więc dziwnego, że dopiero treść listu - i to po aż, bagatela, dwóch akapitach - wzbudziła we mnie fluktuację.

Otilie miała wprawny, apoliński wręcz charakter pisma, o kunsztownie zaokrąglonych brzuskach i ogonkach wyciąganych w sposób tak elegancki, tak artystyczny, że pragnęłam czytać jej list w kółko i w kółko, póki jego treść nie kolebałaby się pod moimi spuszczonej powiekami.

Zanim do niej zadzwoniłam, o co poprosiła w wypadku akceptacji swojej propozycji, spędziłam cały wieczór rewidując Wikipedię. Szukałam informacji nie tylko na temat Otilie, ale też na temat całej rodziny Feldsteinów. Im dłużej czytałam, tym bardziej piekły mnie oczy. W końcu przetarłam powieki palcami i dotarło do mnie, że twarz mam mokrą od łez.

Otilie urodziła się w 1936 roku na przedmieściach Berlina. Tam też spędziła większą część wczesnego dzieciństwa, nie licząc arkadyjskich wycieczek do Berghof oraz na Rugię. Teraz urzędowała w Stuttgart - dowiedziałam się tego z koperty i treści listu, nie odnalazłam natomiast jakiegokolwiek wzmianki na ten temat w Internecie, za co Otilie powinna dziękować losowi.

Postanowiła skontaktować się ze mną, poruszona zbiorem moich reportaży dotyczących zamachu na Oktoberfest, spisanych z okazji dwudziestej trzeciej rocznicy zdarzenia. Uważam tamte prace za grafomańskie i pseudoartystyczne, wówczas jednak nie myślałam o swoim kunszcie w sposób tak krytyczny, nie dziwiła mnie więc decyzja Otilie.

Dotarłszy do jej posiadłości w Stuttgart - mieszkałam wtedy w Monachium i podróż ta kosztowała mnie dwie godziny w przedziale pociągowym - ogarnęło mnie rozgoryczenie tak miażdżące, że blisko mi było do odwołania spotkania. Bo jak to możliwe, że oto ona, córka neonazisty, którą do chrztu trzymał Fuhrer, teraz pomieszkuje w dwupiętrowym domu o spadzistym dachu, z balkonem, tarasem i altaną ogrodową?

W pierwszym odruchu oczywistym wydało mi się, by wypytać ją o dzieciństwo spędzone na zielonych pastwiskach Austrii i w wirze faszystowskiego blichtru. Zamiast tego zarzuciłam ją żargonem pytań podszytych oskarżeniem: jak udaje ci się tak po prostu tu sobie żyć? Jak przetrwałaś w normalności tyle lat? Jakim cudem?

Otilie przyjmowała moje wścibstwo z serwilistycznym milczeniem, choć gdzieś na odcinku pomiędzy jej wąskimi wargami a spojrzeniem niebieskich oczu cały czas majaczyła swego rodzaju wyniosłość. Dręczyła mnie ta bufonada, szybko jednak pojęłam, że nie można było wymagać od tej istoty, już na samym początku odartej z godności i stabilizacji, by zabawiała obcych uprzejmościami i brylowała towarzyskim szlifem.

Kredens w jej salonie był zastawiony - i to naprawdę zastawiony - oprawionymi w złote ramki fotografiami, w większości jej i jej męża. Z pozycji kanapy gorączkowo wertowałam zdjęcia wzrokiem, poszukując... czego tak właściwie? Hitlera łypiącego na nas szaleńczym okiem?

Fotografii ojca brak.

Otilie pragnęła, bym napisała książkę o jej dzieciństwie oraz życiu, a tak przynajmniej zadeklarowała w swym liście. Po pół godzinie zorientowałam się, że prowadzony przez nią monolog był tak naprawdę istną laudacją jej rodziców, zwłaszcza ojca właśnie, jakże bezcelową i daremną.

- Chcesz, bym pisała o tobie, czy wybieliła jego?

Pociągnęła łyk herbaty z filizanki. Na ławie przed nami spoczywał talerz z kawałkami bienenstich naznaczonego mokrymi kleksami zakalca.

Jej mąż, po którym nie przejęła nigdy nazwiska, przebywał na piętrze, przykuty do łóżka udarem. Pielęgnowała go Polka w średnim wieku. Usilnie unikałam jej spojrzenia za każdym razem, gdy przemykała przez parter.

Ernst Feldstein, niemiecki polityk, został skazany na śmierć i niemal natychmiast stracony krótko po wojnie. Jeszcze przed jego aresztowaniem Ottilie wraz z matką i młodszym bratem wysiedlono z wystawnej willi na przedmieściach Berlina, by umieścić ich bez zwłoki w Auschwitz. Braciszka wykończył tyfus, mateczkę - malaria. Dopiero kiedy Ottilie została sama, osierocona i pokonana, zdecydowano się puścić ją wolno. Miała dwanaście lat.

- Płaczesz? - spytała mnie, zdumiona. Jej wyraz twarzy przez cały wywiad pozostawał indolentny. Miała chłodne błękitne oczy, niewzruszone, niczym tafla jeziora.

Sprzeciwiała się idei skrajnego faszyzmu, ale jednocześnie odrzucała istnienie Holokaustu, klasyfikując pogrom Żydów jako zjawisko skrajnej propagandy. Gdy wyszłam z jej domu, zwymiotowałam centralnie pod ogrodzenie.

Nigdy nie powstała książka o życiu Ottilie Feldstein. Tą samą drogą, którą tam przyjechałam, wróciłam do domu.

### III miejsce: Natalia Maślej – godło: Freya

#### Pieśń księżycy i wiatru

*Niechaj wiatry w polach wieją*

*Niechaj księżyc gaje kapie*

*A oddechu nam ustąpie*

Płomienie sięgały czupryn drzew, blask odbijał się w zarumienionych od śpiewu policzkach.

*Niechaj woda jezior świeci*

*A ptak leci, leci, leci...*

Wokół ognia kręciły się dziewczki złączone smukłymi dłońmi i okolone wirującymi spódnicami.

**...leci by zobaczyć kwiat**

**Który piękno świata skradł**

W ciszy, która nastąpiła po zakończeniu pieśni, zaśpiewał krótko słowik. Kobiety zachichotały i usiadły ponownie w kręgu. Spoczywający obok mężczyźni, po obdarzeniu ich przelotnymi uśmiechami, przybrali poważne miny i poczęli wpatrywać się w starca, który właśnie z trudem wstał i uderzył laską w ziemię. Gdy uderzył po raz drugi, nawet słowik ucichł.

- Ludzie! - ochryply głos wypełnił gorące, czerwcowe powietrze. - Ludzie, słuchajta wy. Bowiem dziś noc jest nasza, nasza noc Kupały! Na księżyc spójrzcie, na księżyc!

Powykręcana, wysuszona laska wskazała prosto na pełny okrąg karmiący swoim światłem oczy zebranych. Kiedy ognisko przygasło, tylko jego blask oświetlał pomarszczoną, groźną twarz starca. Po chwili milczenia mężczyzna kontynuował.

- Czyśwy godni? Czyśwy czyści, sprawiedliwi, bez skazy? Tylko jeśli tak, możecie iść w las dzisiaj i na moczary, by pod nocnym słońcem szukać kwiatu! Kwiatu piękniejszego od najśliczniejszej dziewczki, sprawiedliwszego od najprawszego woja, mędrszego od najstarszego starca i czystszeo od wody strumienia. Da on szczęście, pomyslność, dobro i urodzaj. Da tylko jeśli...!

Jedna z dziewczek wzdrygnęła się lekko, kiedy rozległ się gwałtowny krzyk.

-Tylko, jeśliśwy dobrzy i prawi, mądrzy i rozwagi pełni! A teraz... Teraz szukać idźcie, biegnijcie, dziatki!

Gdy starzec po raz trzeci uderzył laską w twardą glebę, wszyscy poderwali się z miejsc i ruszyli w stronę ściany mrocznego, ciemnego lasu. Jedni samotnie,

spokojnym krokiem. Drudzy parami, chichocząc bez ustanku. A jeszcze inni podeszli kawałek, lecz wrócili się i z posępną, pełną zwątpienia miną znów przysiedli przy dogasającym ogniu.

Każdy mógł wyczuć w powietrzu, że księżyc wskaże drogę tylko temu, kto godny.

\*\*\*

Truchło, omywane srebrzystą wodą jeziora i skąpane w jasnych plamach światła księżyca prześwitującego przez ciemnozielone liście drzew od razu rzuciło się w oczy Alinie. *A ptak leci, leci, leci...* Z jej koralowych, dużych ust wydobył się cichy pisk, a okrągłą, rumianą twarz wcisnęła w lnianą koszulę Bartka.

- Już dobrze, kochana, to tylko martwy ptak, nic więcej. Chodź, szukamy dalej.

Alina obejrzała się jeszcze raz na martwego słowika, nie mogąc odeprzeć przeczucia, że bogowie próbują ich ostrzec.

\*\*\*

Wiatr nienawistnie dął w czupryny drzew. Gwałtowne podmuchy przeszywały ich jak ostrze noża. Alina zgarbiła się, drżąc. Otuliło ją jednak silne ramię i przypomniała sobie, że nie jest sama.

Och, jak bardzo go kochała. Tak bardzo, że... Wtem obydwójce wzdrygnęli się, bowiem od strony gęstego i bujanego wiatrem boru doszedł ich szelest głośniejszy od pozostałych. Przypominał chrzęst liści pod butem późną jesienią lub pryhanie chorego konia. Nie zdążyli nawet mrugnąć, kiedy w półmroku ujrzeli cień. Cień ciemniejszy od nocy, ciemniejszy od zmroku i oddechu demona. Zdawał się zmieniać swą formę jak wiatr, cichy jak wiatr, zmienny jak wiatr, nieuchwytny. *Niechaj wiatry w polach wieją...* Raz był czworonożnym orłem, chwilę potem zmarłą babką Zochą. Gdy szumiał, liście spadały z gałęzi pod jego westchnieniem. „Nie, nie westchnieniem”. Pomyślał Bartek. „Prychnięciem. Prychnięciem zażenowania i irytacji, politowania i sarkazmu”.

Para nie ośmieliła się ruszyć, dopóki cień nie przeistoczył się w kolejną postać. Młody chłopak, podobny wiekiem do niebieskookiego. Zmierzwione włosy rozwiane przez silny wiatr, łagodne rysy twarzy, pulchne usta i serdeczne oczy. Oczy utkwione w Alinie. Dziewczyna nie wytrzymała tego spojrzenia.

Odrzuciła dłoń Bartka i zaczęła biec na oślep. “Wszystko to był zły pomysł, wiedziałas o tym, wiedziałas. Jakże głupia byłaś tamtego dnia. Bartek już teraz wszystkiego się domyśli, prawda? PRAWDA?!” Liście i gałęzie raniły rumiane policzki, szmaragd przesłaniała zasłona łez. Szepty wiatru przerodziły się w głośne krzyki, które otaczały ją, wirowały, wyśmiewały. W pewnym momencie zdała sobie sprawę, że coś zaciska się na jej szyi. Poczula jak nie może oddychać, jak próbuje krzyczeć, a jedynie wzdycha. *A oddechu nam ustąpie...* W pewnej chwili zdawało jej się, że widzi jakiś kwiat. *...kwiat, który piękno świata skradł.* Czula wiatr na skroniach. A potem, kiedy już przestała czuć cokolwiek, kolejne ciało zostało skąpane w ciemnej wodzie. *Niechaj woda jezior świeci...* I w srebrzystej łunie. *Niechaj księżyc gaje kąpie...* I w lekkich, zachęcających podmuchach letniego wiatru.

*Niechaj wiatry w polach wieją...*

## **Wyróżnienie: Łukasz Stan – godło: Kochanka**

### **Kochanka**

Kochała go. To było jedyne uczucie, którego była pewna. Wielbiła zarówno jako swojego stwórcę, jak i obiekt pożądania. Gdyby nie on, nie istniałaby. To oczywiste, że jemu i tylko jemu pragnęła oddać swoją duszę.

Kochała w nim wszystko. Jego zabrudzone atramentem palce, bladą skórę i przekrwione, ale pełne pasji oczy. Spoglądała na ukochanego z pomiędzy pożółkłych kartek notatnika. Uwielbiała, gdy ją opisywał. Stworzył jej ciało, ubranie, fryzurę, a nawet złote cekiny na sukience. To dzięki niemu przestała być tylko rozmytą ideą, a stała się prawdziwą postacią, o pięknej twarzy i perłowych oczach. Tak bardzo nie mogła się doczekać, aż nada jej imię. W takich chwilach czuła, że już zawsze będą razem. Będzie idealną postacią, zrobi wszystko, aby codziennie opisywał ich wspólne życie. Pragnęła białego domku w lesie, gdzie będą mogli razem spacerować, trzymać się za ręce. Wyobrażała sobie, jak gładzi wnętrze jego dłoni, a on następnie składa na jej ustach delikatny pocałunek. Nie ważne, jaką formę jej nada, nie przestanie go kochać. Zawsze będzie jego jedyną...

„Dziękuję ci. Za to, że jestem twoją jedyną. Za to, że jestem taka wyjątkowa. Za to, że ze wszystkich snów, idei i pomysłów wybrałeś akurat mnie. Za to, że codziennie siadasz przed biurkiem i kontynuujesz pracę nade mną. Nadajesz mi kolejne cechy charakteru, dokładniej opisujesz mój wygląd... Wciąż rozmyślasz nad imieniem dla mnie. Dziękuję. Tak bardzo cię kocham”.

Ukochany coraz rzadziej otwierał notatnik. Pewnego razu tylko na nią spojrzął, po czym odszedł. Nie wracał dniami, tygodniami, może miesiącami. Jednak ona cierpliwie czekała. Wiedziała, że pewnego dnia do niej powróci, po czym zabierze ją do przepięknej krainy, którą dla nich napisał. Lecz im dłużej wyczekiwała, tym więcej obaw targało jej kruchą duszyczkę. Co jeżeli ją porzucił? Jeżeli znalazł sobie inną? Jeżeli była dla niego tylko chwilową uciechą, zaspokojeniem poetyckiej potrzeby? Nie mogła pozwolić tym strasznym myślom przejąć nad sobą kontroli. Wiedziała przecież, że ukochany nigdy by jej nie zostawił. W końcu była jedyną... Wyjątkową...

Aż nadszedł ten dzień. Poeta znowu otworzył notatnik. Serce zabiło jej mocniej. Był tak samo przystojny jak w momencie, w którym widziała go po raz ostatni. Może odrobinę się zmienił, ale czy to miało znaczenie? Znowu mogli być

razem. Teraz weźmie do ręki pióro i wreszcie nada jej imię. Będą żyli razem, już zawsze, na wieczność...

W tym momencie poczuła ogromną falę przedziwnego uczucia, którego nie знаła wcześniej. Ból. Przeszył całe jej fikcyjne ciało. Chciała wręcz krzyknąć, błagać ukochanego, aby przestał. Dlaczego to zrobił? Dlaczego wyrwał ją z notesu? W tym momencie dostrzegła jego oczy. Nie były takie jak zwykle. Nie wypełniała ich już pasja i miłość. Spoglądał na nią znudzonym wzrokiem, jak na nieudany projekt. Którym w istocie była...

„Dlaczego...? Co zrobiłam źle? Przecież jestem idealna. Przecież jestem jedyna. Przecież jestem wyjątkowa...”

Przez ten cały czas nie była niczym więcej, niż chwilową przyjemnością. Konceptem, ideą, którą romantyczny artysta napisał pod wpływem natchnienia. Wszystko po to, aby na końcu ją porzucić. Jak zabawkę, lalkę. Nie obchodziło go, że kazał jej siebie kochać. Nie obchodziło go, że kazał jej marzyć o ich wspólnym życiu. Nie obchodziło go, że napisał niewinną kruchą duszyczkę, której jedynym pragnieniem stało się otrzymanie imienia. Zgniółł i wyrzucił, gdy tylko się znudził...

Zapłakała, gdy znalazła się na dnie metalowej klatki. Tak bardzo pragnęła, aby jednak zmienił zdanie. Wyciągnął z otchłani zapomnienia i wznowił pracę nad jej ciałem. Nie miał już znaczenia biały domek, nie miało już znaczenia jezioro. Niech tylko nada jej imię... To wszystko.

„Ja... Wybaczam ci. Po prostu... Nie byłam wystarczająco idealna... Ale nie martw się ukochany. Poczekam tu na ciebie. Zmienisz zdanie i znowu mnie pokochasz. W końcu jestem twoją jedyną...”

Ta myśl pozwoliła jej znowu się uśmiechnąć. Spoglądała na swojego ukochanego przez łyż, jak po raz kolejny otworzył zeszyt i zaczął od nowa tworzyć kobietę idealną. Nie obawiała się jednak. Nie uda mu się. Porzuci projekt i wróci do niej. W końcu nie ma drugiej takiej samej jak ona... Wtedy to dostrzegła.

Wraz z nią dookoła stały dziesiątki innych panien. Każda taka sama, o idealnych włosach, ciele i ze złotymi cekinami na sukience. Wszystkie wpatrywały się tylko w swojego ukochanego, wierząc, że pewnego dnia autor wyciągnie je ze śmietnika i obdarzy miłością na nowo. Każda była w przekonaniu, że jest jedyna, wyjątkowa, niepowtarzalna...

Tak bezimienna idea egzystuje po dziś dzień, cierpiąc w tęsknocie. Nie wie ile czasu minęło. Nie ma to dla niej znaczenia. Pragnie tylko, aby ten koszmar



wreszcie się zakończył. Jednak wie, że tak nigdy się nie stanie. Ponieważ przez wieczność będzie go kochała...

## **Wyróżnienie: Ksawery Górny – godło: Waga**

### **Muzealna przygoda**

W pewną sobotę udałem się do Muzeum Uzbrojenia w Poznaniu. Miejsce to zostało utworzone w 1965 roku w schronie dawnego Laboratorium Wojennego S.K.1, gdzie wytwarzano proch i elaborowano pociski. Muzeum gromadzi i wystawia materiały ikonograficzne, archiwalne oraz militaria związane z historią Fortu Winiary.

Muzeum to było ogromne, a ja chciałem zwiedzić je całe, jednak przyszedłem za późno i niedługo zamykali. Pomyślałem, że nie mam szans zobaczyć wszystkiego, więc postanowiłem, że ukryję się i poczekam, aż wszyscy wyjdą i wtedy spokojnie zwiedzę cały kompleks muzealny. Wiedziałem, że to niewłaściwe, miałem w związku z tym pewne wyrzuty sumienia, ale pragnienie przeważało.

Postąpiłem zgodnie z planem i wyszedłem z ukrycia, kiedy już nikogo nie było. Wtedy pomyślałem z lekkim przestraszaniem, czy można otworzyć drzwi od środka, więc szybko poszedłem to sprawdzić i na szczęście moje obawy okazały bezpodstawne. W razie czego będę mógł wyjść.

Pierwszym miejscem, które postanowiłem zwiedzić, był plenerowy park sprzętu wojskowego na dziedzińcu. Były tam pojazdy wojskowe, samoloty, śmigłowce działa i moździerze różnych typów. Wielkie i majestatyczne czołgi T-34/76, IS-2 i T-34/85 oraz działko samobieżne ISU-122 robiły niesamowite wrażenie. Jednak najwspanialszym eksponatem okazała się wyrzutnia raketowa BM-13N „Katiusza” zamontowana na podwoziu amerykańskiej ciężarówki Studebaker US-6 oraz samochód ZiS 5/12 z reflektorem przeciwlotniczym Z-15-4B. Sprzęty były niesamowite i zachowane w znakomitym stanie, mimo że wiele przeszły w czasie wojny.

Następnie wróciłem do środka i udałem się do pomieszczenia z bronią. Było tam wiele modeli, które znajdowały się w rękach manekinów w żołnierskich strojach. W pewnym momencie wydawało mi się, że kątem oka zobaczyłem jakiś ruch. Trochę się przestraszyłem, ale postanowiłem to sprawdzić.

Poszedłem w kierunku drzwi, z których wydobywało się bardzo jaskrawe światło. Wydało mi się to dziwne, ponieważ w muzeum nie było nikogo poza mną. Koniecznie musiałem to sprawdzić. Powoli otworzyłem drzwi i zamarłem na chwilę. Przetarłem oczy z niedowierzaniem. Po pomieszczeniu spacerowały manekiny żołnierzy i rozmawiały ze sobą. Kiedy mnie zauważyły, wszystkie

stanęły i zamarły. Były równie zdziwione jak ja tym, co widzą. Po chwili jeden z manekinów podszedł do mnie i się przywitał.

- Cześć, jestem generałem, dowodzę tutaj – zasalutował.

- Cześć - odpowiedziałem zdziwiony. – Jakim cudem wy żyjecie? Przecież to niemożliwe...

Generał wyjawiał mi, że to skutek eksperymentów medycznych przeprowadzonych w czasie wojny. Chciano, by manekiny zastąpiły żołnierzy w walkach, by ograniczyć straty w ludziach. Niestety eksperyment okazał się totalną porażką, gdyż manekiny były za sztywne i wykonane z plastiku, więc łatwo ulegały uszkodzeniom i topiły się w spotkaniu z ogniem. Została ich ledwie garstka i od kiedy powstało muzeum, mieszkają w nim i opiekują się eksponatami. To było naprawdę fascynujące. Generał wraz ze swoją brygadą oprowadził mnie po pozostałej części muzeum i opowiedział o eksponatach, których jeszcze nie zdążyłem zobaczyć. Pomyślałem, że z tą wiedzą i umiejętnością byłiby świetnymi przewodnikami, tylko wtedy świat dowiedziałby się o nieudanych eksperymentach, a tego wyjawić nie można. Ludzkość ze swoimi pomysłami nie jest na to gotowa. Manekinom groziłoby niebezpieczeństwo.

Nad ranem odprowadzili mnie do drzwi i serdecznie pożegnali.

To była niezwykła i ekscytująca noc, która minęła zdecydowanie za szybko. Postanowiłem jeszcze tu wrócić i ponownie spotkać się z moimi nowymi przyjaciółmi.

## SPIS TREŚCI

### Kategoria wiekowa „A” POEZJA:

I miejsce – Viktoria Glombitza .....	3
II Miejsce – Mirosław Kowalski.....	6
III miejsce – Ewelina Cis.....	9
Wyróżnienie – Krystyna Mazur.....	12
Wyróżnienie – Tadeusz Knyziak.....	14

### Kategoria wiekowa „A” PROZA:

I miejsce – Olga Sarwa.....	18
II miejsce – Patrycjusz Pilawski.....	20
III miejsce – Piotr Zemanek.....	22
Wyróżnienie – Iga Rusek.....	24
Wyróżnienie – Maciej Dworowy.....	27

### Kategoria wiekowa „B” POEZJA:

I miejsce – Aleksandra Pańpuch.....	30
II miejsce – Jakub Miklus.....	33
III miejsce – Antonina Mrowiec.....	36
Wyróżnienie – Grzegorz Sobkiewicz.....	39
Wyróżnienie – Hubert Kulczyk.....	43

### Kategoria wiekowa „B” PROZA:

I miejsce – Jan Kocot.....	46
II miejsce – Aleksandra Złotkowska.....	49
III miejsce – Natalia Maślej.....	52
Wyróżnienie – Łukasz Stan.....	55
Wyróżnienie – Ksawery Górny.....	58